

9

Tym razem nie będzie to tekst o nas. A w każdym razie - nie przede wszystkim. Będzie o jednym tylko Człowieku. O Kimś znanym, kto sam zapewne nigdy nie słyszał o PRPI ani Ruchu Ludzi Natury, choć mógłby być Pierwszym z nas. O Kimś, kto powiedział: 'Jestem na tym świecie gościem, mam konkretne zadanie przyczynić się do dobra wspólnoty, której jestem częścią'. I kto całym swym długim życiem propagował ideę działania we własnym interesie na korzyść drugiego człowieka (tzw. alterocentryczny egoizm).

Był postacią o wszechstronnych zainteresowaniach, wielkiej fantazji i niezwykłej, nawet jak na naukowca, wyobraźni twórczej. Był 'głosem sumienia ekologicznego', ostrzegającym, że 'kto wyłamuje się z porządku praw Natury, naraża swoją populację na smutne konsekwencje'. Przekonująco dowodził, że współczesne kryzysy i patologie społeczne są skutkiem kryzysu ekologicznego. Był twórcą nowej, 'kompleksowej' koncepcji medycyny i profilaktyki bólowej współczesnej cywilizacji, autorem maksymy: 'Chcesz zdrowia i szczęścia - zabiegaj o pokój'. Lekarzem Ziemi, Przyrody i Człowieka.

Chciał zmieniać świat na lepszy i - skupiając ludzi dobrej woli - co dzień przykładł do tego rękę: ogrody botaniczne w halach produkcyjnych; dolomitowe kuracje skażonych ziem wokół hut w Skawinie i elektrowni w Czarnobylu; znaczące postępy w leczeniu białaczek i raka; reanimacje umierających. Płani w Krakowie i lasów wokół Tarnobrzegu; popieranie chemiczne czystego rolnictwa i zdrowej, wzbogaconej w mikroelementy, żywności - listę spraw bliskich sercu Profesora można by ciągnąć jeszcze długo ('Każdy z nas, niezależnie od tego, jaką pozycję społeczną zajmuje, powinien w miarę swoich możliwości dołożyć wszelkich starań, by złagodzić każdą patologię, występującą we współczesnym świecie').

Wciąż między uwielbieniem i lekceważeniem otoczenia. Wciąż pełen zapału, optymizmu i - skromności. Otwarty na nowe idee ('Nauka nie jest już wyłącznie uprawiana do szukania prawdy'), pełen zaskakujących pomysłów ('Dlaczego nie wystrzelić radioaktywnych odpadów w kierunku Słońca?'), a zarazem zaskakująco przeczujący autor np. ostrzeżeń przed DDT i zaleceń dietetycznych i sanitarnych na wypadek awarii reaktora atomowego (przed Czarnobylem!). Pozostawił po sobie długą listę książek i artykułów (warto zajrzeć choćby do roczników AURY), patentów (wiele - wciąż niewykorzystanych) i grono uczniów, wiernych Jego Myśli ('Celem każdego działania powinno być przyczynianie się do dobrej jakości życia tych, co przyjdą po nas, a przez to - do poprawy naszej jakości życia').

Profesor JULIAN ALEKSANDROWICZ nie żyje. Na pogrzebie nie życzył sobie wieńców ani kwiatów. Przyjaciół prosił, aby pamiętali o żyjących. By przyczyniali się do zmniejszania cierpienia innych i wzbogacania ekologicznej świadomości ludzi, których zdrowiu, pomyślności i przyszłości tak dużo zagraża. ('Nawiedzony? Ale przecież ktoś musi to powiedzieć...')

Czy my, na naszej Ścieżce Piękna, zechcemy o tym pamiętać? Czy poświęcimy nieco naszego cennego czasu na poznanie Jego nauk i wysłuchanie Jego przestroż? Czy dla Jego - jakże 'indiańskiego' - Ducha znajdziemy miejsce w naszym Kręgu?

TAWACIN - Przegląd PRPI - jest wydawany na prawach rękopisu. Wydanie 'Lato-Jeśień 1988' opracowali: Niedźwiedź, Wawoki 'ya i Cień, wykorzystując też teksty Arka, Erwina i dwóch Marków

Jestem jak ty, mój bracie
szary lesny wilku
nie znoszę smyczy ani kagańca
nie można mnie zaszczyć
bakcylem cywilizacji
a kiedy księżyc świeci
nad betonową pustynią
chce mi się wyć...
(List do brata, 1987)

Man różne hobby, ale SPRAWA INDIAN DLA MNIE HOBBY NIE JEST. Trudno mi to wytłumaczyć, ale nie jestem 'miłośnikiem' kultury, zwyczajów i tego wszystkiego, co dotyczy Indian. Spróbuję to może wyjaśnić na przykładzie. Gdyby ktoś mnie zapytał czy kocham przyrodę, podniósłbym do góry rękę i zapytałbym: czy moja ręka kocha mnie za to, że jest moją ręką? To jest właśnie tak, jak z moim stosunkiem do Indian. Zainteresowanie to nie jest to. Odczuwan to inaczej, jako coś o wiele większego i bardziej głębokiego, niż stany, które można oddać takimi słowami, jak fascynacja, zainteresowanie, czy hobby.

Kiedy człowiek przez większą część życia siedzi w lesie, do tego przewartościuje sam, wówczas zaczyna odkrywać głębię człowieczeństwa, ale i zarazem doznaje takich stanów wewnętrznych, wobec których zawodzi język. Ale w językach indiańskich takie stany i takie określenia są znane. Stąd wniosek, że dla Indian stanowią one raczej coś normalnego. Czyli, że otoczenie i sposób życia mogą w znacznym stopniu determinować przeżycia wewnętrzne.

Uważam, że CZŁOWIEK, KTÓRY ODWRACA SIĘ OD NATURY, POPEŁNIA SAMOBÓJSTWO, a nawet więcej, bo coś, co nazwałbym autoeksterminacją. Wielu ludzi zdaje sobie sprawę z tego, że coś zagubili, że coś jest nie tak i szukają tego gorączkowo. Więc biegają po sklepach i kupują rzeczy, marnują czas w wyciu dyskoteek i jałowych podrygach (jakże daleko do powagi i piękna tańców indiańskich), upijają się albo ćpają, żeby odnaleźć to, co zgubili. I dalej nic nie znajdują, oprócz chwilowego mirażu i pozoru szczęścia i spokoju. A za chwilę zrywają się i znów, zdyszani i niecierpliwi, pędzą za jakąś błyskotką i kolejną fatamorganą. Ale, jak mówi przysłowie Indian prerii: 'nawet na najszybszym koniu człowiek nie zdoła uciec od samego siebie'. I mają rację. A może to, co człowiek poszukuje, nie jest gdzieś na zewnątrz, ale w nim?

Jak patrzę na Indian, na ich mentalność i stosunek do świata, to TYM BARDZIEJ UŚWIADAMIAM SOBIE, CO ZATRACIŁA CYWILIZACJA BIAŁEGO CZŁOWIEKA. I tak przychodzi mi do głowy, że właściwie człowiek, tak dumny ze swoich cywilizacyjnych osiągnięć, jest autentycznym dzikusiem i barbarzyńcą, różniącym się od małpy dowodem osobistym i umiejętnością obsługi komputerów. Naprawdę nie popadnę w przesadę, jeśli powiem, że w porównaniu z Indianami nasza mentalność jest dno. Man na co dzień styczność z ludźmi, którzy stanowią typowy produkt cywilizacji i swoją mentalnością nie różnią się od nienasyconych zbiorów Cortezę, amerykańskich osadników z tzw. pogranicza, czy bezwzględnych opryszków Swiniopasa Pizarra. Zupełnie dobrze potrafię sobie wyobrazić tych ludzi mordujących bezbronne indiańskie kobiety i dzieci, lub miszczących świątynie o tradycji sięgającej czasów, gdy Grecy i Rzymianie chodzili w niewyprawionych skórach i jadali surowe mięso na codzień, a pieczone od święta.

Pochodzę ze Szczecina, ale większość ze swoich 35 lat życia spędziłem w lesie. ŁATWIEJ MI ZROZUMIEĆ INDIANINA, NIŻ CYWILIZOWANEGO MIESZCZUCHA. Tym bardziej, że sam próbowałem, z lepszym lub gorszym skutkiem, różnych indiańskich sposobów życia, które niemal tak samo sprawdzają się w Polsce, jak w Górach Skalistych, prowincji Ontario, czy w Mato Grosso. Dla mnie Indianie nigdy nie byli tym, czym są w powszechnej opinii. Czyli prymitywną sforą wystrojonych w pióra, wymalowanych we wsclkie kolory barbarzyńskich dzikusów. A przecież taki właśnie obraz Indianina w umyśle białego człowieka wytworzył film, księżki ('westerny') i inne środki masowego przekazu. I europocentryczna duma, arozumiałość, przykładanie wszystkiego, co inne do jednej, 'cywilizacyjnej' miary.

A ja się zastanawiam, co jest lepsze - mieć samochód, czy czyste, nie mające kłamstwa serce? I CZY NAPRAWDĘ TO JEST 'WYŻSZA' FORMA CYWILIZACJI - poprzez zanieczyszczenia, nerwowy pośpiech, nieracjonalny tryb życia mordująca samego człowieka w imię pseudohumanitarnych, 'wyższych' celów, jakimi są obłądny wzrost produkcji i konsumpcji poza wszelkie granice potrzeb i zdrowego rozsądku? A przecież tej cywilizacji, którą tak chlubi się biały człowiek, brakuje tego, co najważniejsze. Pełnego uszanowania praw i godności człowieka, zdrowego spojrzenia na świat i szacunku dla przyrody, której człowiek jest integralną częścią, o czym ludzie 'cywilizowani' dawno zapomnieli. Ale nie zapomnieli Indianie i przechowali te tak cenne wartości do dziś, niezażnięte od demoralizacyjno-ekstremistycznej cywilizacyjnych usiłowań białych. A JAK WIELE JEST DO ZROBIENIA W DZIEDZINIE OBRONY PRAW INDIAN, ich kultury, ba - także ich biologicznej egzystencji?

Swoją drogą mniej więcej wiem, jak czuli się Indianie, gdy odbierano im ziemię, gdy wycinano puszcze, paskudzono rzeki i jeziora, wybijano całą zwierzynę w lasach, dewastowano i deptano wszystko to, co dla nich było ważne, święte, czym i w czym żyli.

I ja musiałem patrzeć ze ściśniętym sercem na dewastację dziewiczych zakątków, prawdziwych świątyni przyrody. Na rzeki, z których jako mały chłopak piłem krystaliczną wodę, a które dziś są kanałami ściekowymi, na lasy, po których chodziłem, w których cieszyłem się życiem i poznawałem jego prawa, a które padły od piły po to, by na ich trupie wybudować wielopasmowe szosy. I te łaki, niegdyś pełne motyli i kwiatów w dzień, a w nocy pełne małych zwierzątek polujących i szukających pożywienia, dziś zamienione w spalone chemikaliami zabagnione nieużytki. Na wszystko to musiałem patrzeć.

I na ludzi też. Na tych, co w niedzielny poranek wyjeżdżali samochodami do lasu, rozstawiali składane meble i kupy żarcia, puszczała radia tranzystorowe na cały regulator i grali w badmingtona, drąc się przy tym niemilosierdzie. Oto weekend na łonie przyrody.

PRZYRODA JEST PIĘKNA I SPRAWIEDLIWA, ALE BŁĘDÓW NIE WYBACZA. I to też cenę u Indian, że znają tę prostą prawdę, którą każdy człowiek powinien się kierować. To także jest część indiańskiej 'Ścieżki Piękna'.

Indianie przechowali w sobie tyle zalet, że warto by je upowszechnić wśród Europejczyków - świat może stałby się lepszy. I być może pewnego dnia przestałyby być aktualne słowa pewnego Indianina do jednego z amerykańskich mężów stanu: Niech mój brat spojrzy na miasta białych twarzy, są one jak mrowiska pełne oszalanych mrówek'.

Kontakt z przyrodą pozwala, patrząc na świat, widzieć go takim, jakim jest naprawdę. Pozwala uwalnić się od zabiegania, od bezsensownej, głupiej lataniny za mirażami. Aż wreszcie wytwarza się inny rodzaj świadomości. Ten do, którego człowiek rzeczywiście został stworzony. Dystans do codziennych drobiazgów i spokojne, mądre podejście do rzeczy wielkich, a w końcu - sprowadzanie każdej rzeczy do jej właściwego wymiaru. NIEJEDNEGO MOŻEMY NAUCZYĆ SIĘ OD INDIAN właśnie w tym, co jest dla człowieka obiektywnie ważne. W jaki sposób unikać błazeńskiej arpaniny. Biały człowiek jest bowiem podobny do konia, który sam siebie okłada batem po zadzie, gdyż uważa, że nigdy nie galopuje dość szybko.

Życie wśród przyrody uczy myślenia. To las, nie szkoła, nauczył mnie, że ponoszę odpowiedzialność za każdą istotę żywą, za każdą nawet gałązkę, z którą się stykam. Indianie mają to poczucie w sobie i jest ono integralną częścią ich życia. Biali tego, praktycznie rzecz biorąc, nie posiadają. A jeśli nawet, to tylko nieliczni. Gdyby Indianie budowali przynosi, to na pewno nie byłaby nasza planeta tak strasznie zdevastowana przez różnego rodzaju zanieczyszczenia i skażenia. Uważam, że ZAINTERESOWANIE INDIANAMI SZERSZYCH KREGÓW SPOŁECZEŃSTWA MOŻE BYĆ POMOCNE ZARÓW O DLA INDIAN, JAK I DLA BIAŁYCH społeczności. Tylko żeby biali, szcycący się swoją logiką, wyciągnęli wreszcie logiczne wnioski z oczywistych faktów. Ba, ale do tego potrzebna jest szczypta odwagi.

Jeżeli chodzi o to, co było w 'ORBICIE', to ogólnie biorąc jestem zadowolony. Było ciekawie i naprawdę NIE ŻAŁUJE, ŻE PRZYJECHAŁEM NA SESJE DO POZNANIA. Spotkałem tam jeszcze trzy osoby znane ze zlotów hippisowskich, jednego znanego osobście. Nie zastanawiam się nad tym, skąd hippisi w PRPI, dlatego, że sam jestem nie gdzie indziej, ale właśnie tu, gdzie jestem. Myślę, że to sprawa stosunku do życia, sposobu myślenia i stylu życia w ogóle. Jedną rzecz mi się na spotkaniu w 'Orbicie' nie podobała. Alkohol. Tego było o wiele za dużo. Nawiasem mówiąc, nie ograniczono się tylko do picia piwa. Każdy z nas wie, że alkoholizm jest problemem wśród Indian. Ale czy to znaczy, że my, zwący się przyjaciółmi Indian, musimy powielać te elementy indiańskiego życia, które są najmniej godne upowszechniania? Moja żona zapytała mnie, CZY CZŁONKOWIE PRPI PIJĄ NA ZNAK SOLIDARNOŚCI Z INDIANAMI... Pytanie zjadliwe, ale w pełni adekwatne do sytuacji, jaka zaistniała. Jak znam życie i zagadnienia indiańskie, to nie wydaje mi się, żeby picie alkoholu było częścią indiańskiej 'Ścieżki Piękna'. Nie jestem abstynentem, ale byłem zdegradowany ilością pochłanianych na kongresie butelek. Natomiast podziwiam Niedźwiadka i tych wszystkich, co mu pomagali. On miał prawdziwe urwanie głowy. I tak bardzo dobrze wszystko się udało.

Mam nadzieję, że dane mi będzie uczestniczyć niejedną raz w różnych spotkaniach i zlotach Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian, i że dadzą mi one wiele. A MOŻE I JA BĘDĘ MOGŁ WNIĘŚĆ COŚ TWÓRCZEGO?

Ten Co Niejeden Raz Słuchał Ptaków O Świecie

* Fragmenty listów Erwina z K akowa w brał i opracował MN *

MAREK HYJEK

Wychowanie dzieci i młodzieży u Indian Ameryki Północnej

Zagadnienia związane z dziećmi i ich wychowaniem są bardzo często podejmowane na łamach publikacji Indian Ameryki Północnej. Jest to zrozumiałe z wielu względów, ale podstawową przyczyną tak wielkiego zainteresowania Indian problematyką wychowania jest świadomość faktu, że to właśnie od tego najmłodszego pokolenia zależeć będzie przyszłość Indian na kontynencie amerykańskim. Dziecko w kulturach indiańskich zawsze zajmowało pierwszoplanową pozycję i było uważane za największy dar boski, jaki otrzymują rodzice i całe plemię. Choć owo stwierdzenie brzmi jak truizm, to jednak doświadczenia na polu współpracy z dzieckiem indiańskim dowodzą, że Pierwsi Amerykanie osiągnęli system wychowawczy o dość specyficznym charakterze.

Niektórzy podróżnicy, którzy na przestrzeni ostatnich wieków przemierzali kontynent północnoamerykański, nie widząc u Indian instytucji odpowiadających europejskim instytucjom wychowawczym oraz nie zauważając stosowania kar cielesnych, twierdzili, jakoby Indianom w ogóle nie był znany proces wychowania. Rzeczywiście na niższych stopniach rozwoju ludzkości nie spotykano szkół, ani też programowanych form nauczania, jednakże miały tam miejsce konkretne działania, które według ich istoty, celu i przebiegu należy traktować jako akty pedagogiczne.

Jak się zaraz przekonamy, indiańską działalność wychowawczą możemy uznać za świadomą, może mniej zorganizowaną, ale na pewno była to działalność społeczna i oczywiście celowa. To właśnie w procesie wychowania zawiera się kształtowanie stosunku człowieka do świata i ludzi, jego przekonań i postaw oraz układu wartości i celu życia.

W chwili odkrycia Ameryki Północnej Indianie, zależnie od kręgu kulturowego, zajmowali się przede wszystkim myślistwem, zbieractwem, rolnictwem i rybołówstwem. Tworzyli oni bezklasowe grupy rodowo-plemienne, za wyjątkiem niektórych plemion północno-zachodniego wybrzeża Pacyfiku, u których istniała pewna forma niewolnictwa. W związku z powyższym, rozpatrując indiański system wychowania możemy mówić o cechach szczególnych, właściwych wychowaniu na etapie wspólnoty plemiennej.

Pierwszą cechą owego wychowania jest wyłączność interakcji w ramach instytucji wychowania naturalnego.

Indianom nie znane były szkoły w rozumieniu europejskim, oczywiście tym bardziej nie mogły być im znane świetlice i internaty. Nie mogło być mowy o istnieniu takich instytucji jak Dom Dziecka. Zaśne osierocone dziecko nie mogło być pozostawione na łaskę czy nieszczęśliwego losu. Jeżeli dziecko straciło rodziców to było adoptowane przez kogoś z rodziny i wychowywano je tak, jak wszystkie inne dzieci obdarzone troską i bezgraniczną miłością. Podstawowym środowiskiem wychowawczym indiańskiego dziecka była jego rodzina. W równym stopniu, co matka i ojciec, dzieckiem opiekowało się jego starsze rodzeństwo, dziadkowie i babcie, ciotki i wujkowie. Kiedy dziecko było starsze dużą rolę w jego wychowaniu odgrywała grupa rówieśnicza. Najciekawszym chyba faktem przy tym zagadnieniu jest stopień zaangażowania w wychowanie środowiska lokalnego, czyli wszystkich współmieszkańców indiańskiej wioski. Jak już wspomnieliśmy dziecko było tam uważane za dar życia i miłości dany całemu plemieniu, a nie tylko rodzinie i w związku z tym, każdy czuł się współodpowiedzialny za wychowanie każdego dziecka. Silne poczucie więzi plemiennej i związane z tym poczucie bezpieczeństwa sprzyjało harmonijnemu rozwojowi dziecka.



Drugą cechą jest egalitaryzm w wychowaniu.

Jako że Indianie północnoamerykańscy tworzyli w przeważającej mierze społeczeństwa bezklasowe, gdzie wszyscy czuli się równi, gdzie nie było większych rozbieżności na płaszczyźnie majątkowej, to tym samym egalitaryzm był cechą zasadniczą w wychowaniu. Jednakowe traktowanie wszystkich dzieci zapewniało im wzrastanie w poczuciu braterstwa i pełnej wartości osobistej.

Trzecia cecha to wszechstronność wychowania.

W społeczeństwach indiańskich warunkiem przeżycia była umiejętność produkowania wszystkich rzeczy niezbędnych do zaspakajania potrzeb życiowych. Każdy wojownik musiał znać zasady myślistwa i sztuki wojennej, musiał być rzemieślnikiem i często rolnikiem. Indiańska kobieta musiała umieć prowadzić gospodarstwo domowe, uprawiać pole, garbować skóry, szyć odzież i wykonywać wszystkie inne prace, do których wykonania kobieta była zobligowana. Tak więc zarówno chłopak, jak i dziewczyna musieli nauczyć się wszystkich umiejętności, które były udziałem dorosłych członków plemienia. Francuski podróżnik, Latourneau, tak wypowiada się w tej kwestii: „...wychowanie na tych szczeblach jest absolutnie integralne, w tym sensie, że każdy członek wspólnoty mniej lub więcej dobrze wie o wszystkim, o czym wiedzieć powinien”. Tak więc zaletą wszechstronnego wychowania jest fakt, że nie pozwala ono, aby zmarnowała się w człowieku jakakolwiek cecha, chce je wszystkie rozwinąć jak najlepiej.

Czwartą cechą wychowania u ludów plemiennych jest krótkotrwałość tego procesu.

Dzieci u Indian bardzo wcześnie zaczynają uczestniczyć we wszystkich prawie wydarzeniach życia społecznego i co więcej, pod natiskiem warunków muszą w nich uczestniczyć w ten sposób, uczą się wymaganych umiejętności. Dzięki praktycznemu działaniu dzieci uczą się bardzo szybko, gdyż wcześnie muszą zacząć pracować dla dobra plemienia. Np. u Szejenów, dla których koń stał się podstawą ich egzystencji, chłopcy uczyli się jeździć konno prawie tak samo wcześnie jak chodzić. Od najwcześniejszego dzieciństwa małe dzieci były obeznane z końmi, ich ruchami, a dzieci w wieku dwóch- trzech lat często jeździły na koniu przed lub za swoimi matkami. W ten sposób zdobywały pewność siebie, uczyły się zachowywać równowagę i stawały się jeźdźcami równie szybko jak zaczynały chodzić - drogą praktyki. Kiedy chłopcy w wieku 6-7 lat wychodzili spod opieki matki wykazywali już wiele samodzielności. A w okresie dojrzewania płciowego, podczas obrzędów inicjacyjnych, zarówno chłopcy, jak i dziewczęta zaczynali swoje dorosłe życie. Oczywiście nauka nie kończyła się na inicjacji, gdyż konieczność samodoskonalenia się była uświadomiona, ale młodzież w przedziale od 12-14 lat była zdolna do pełnienia wymaganych w plemienu ról społecznych.

W zależności od ustroju i od kręgu kulturowego, każde społeczeństwo wyznaczało swoisty ideał wychowawczy, którego cechy uważa się za doskonałe, a więc godne naśladowania. Wśród Indian Ameryki Północnej powszechnie występującym był ideał wojownika, czyli człowieka, który w pełni poświęcał samego siebie dla dobra innych ludzi. Wojownik to również człowiek odpowiedzialny, pełen szacunku dla wszystkich stworzeń wszechświata, stale pracujący nad samodoskonalaniem się. Tak więc w tym znaczeniu pojęcie „wojownik” nie oznacza człowieka wyruszającego na wyprawę wojenną, ale zasięgiem swym obejmuje tych wszystkich, którzy bez względu na płeć i wiek gotowi są pracować dla dobra plemienia.

Ideał wojownika, który skupia w sobie wszystkie najbardziej pożądate cechy, jest najważniejszym celem wychowanie dzieci i młodzieży indiańskiej.

Szczegółowe zaprezentowanie najważniejszych zagadnień wychowawczych umożliwi pełniejsze zaznajomienie się ze specyfiką oddziaływania pedagogicznych Indian Ameryki Północnej.

Zainteresowanie dzieckiem oraz troska o jego zdrowie znacznie poprzedzały moment jego narodzin. Z okresem ciąży związane były specjalne akty magiczne. I tak u Hopiów mąż ciężarnej kobiety wystrzegał się zranienia jakiegokolwiek zwierzęcia, aby w ten sposób nie uszkodzić ciała swego nienarodzonego jeszcze dziecka. Ciężarna kobieta jak najdłużej utrzymywała stosunki płciowe ze swym mężem, aby dziecko było duże i zdrowe. Indianki z zasady rodziły szybko i bez większych komplikacji. U wspomnianych już Hopiów noworodka zaraz po urodzeniu kąpano, skórę nacierano popiołem z jałowca, aby była gładka i włosy rosły tylko tam, gdzie należy. Po owinięciu w derkę układano dziecko w kołysce, a wielu sąsiadów przychodziło oglądać dziecko i życzyć mu szczęścia w życiu oraz gratulować matce. Ustalano plan noworodka. Codziennie rozwijano dziecko, kąpano i nacierano „popiołem niemowlęcym” i ponownie układano w kołysce. Pod kark podkładano mu mały kawałek sukna, zaś pod pośladki miękką korę cedru, aby wchłaniała moc. Dziecko Hopiów myto trzy lub cztery razy dziennie. Karmiono je w kolebce, a podstawowym pokarmem indiańskiego niemowlęcia było mleko matki. Karmienie piersią często przeciągało się nawet do trzeciego roku życia. U większości plemion dziecko umieszczano w kolebce dopiero po upływie pierwszego miesiąca od chwili urodzin. W nocy dziecko spało u boku matki, a kiedy się budziło, aby się pożywić, nie krzyczało w środku nocy, szukało tylko piersi, która zawsze była w pobliżu. Indianie dzieci zawsze były w bezpośrednim fizycznym kontakcie z matką. Kiedy matka pracowała, umieszczała dziecko w kołysce w pobliżu siebie tak, aby mogło ono obserwować jej czynności. Często śpiewano dziecku piosenki, gaworzone z nim i kołysano je do snu. U Czipewejów, gdy jakieś dziecko było chorowite, trzymano je w ciepłe ogniska i nacierano ciało tłuszczem, przy czym gęsi smalec uważano za najodpowiedniejszy do tego celu. Jeżeli dziecko było zbyt tłuste i obtarte do krwi, sporządzano puder leczniczy z kruchego drewna dębowego. U Dakotów babka mającego się urodzić dziecka piekła czerwoną glinę i rozcierała ją na drobny proszek, a po wymieszaniu tego proszku z bizonim tłuszczem otrzymywała krem. Ten naturalny „kosmetyk” służył do oczyszczania i nawilżania delikatnej dziecięcej skóry. Babka zbierała również wysuszone bizonie wnętrzności i rozcierała je między kamieniami na proszek równie dobry i delikatny jak talk. Proszku tego używano jako zasyпки, posypując nim podrażnioną skórę. Kiedy niemowlę wykazywało tendencję do ciągłego płaczu, często łaskotano jego genitalia, co sprawiało dziecku przyjemność. Starszym dzieciom które płakały i kaprysiły bez powodu, sprawiano prysznic lub zanurzano je w zimnej wodzie. Kąpiele w chłodnej wodzie stosowano również często jako swoisty sposób hartowania młodego organizmu.

Od pierwszych lat życia indiańskie dziecko uczestniczyło we wszystkich przejawach życia plemiennego. Nikt nigdy nie mówił dziecku, że przeszkadza w wykonywaniu jakiejś czynności i powinno odejść. Wręcz przeciwnie, okazywano radość, kiedy dziecko było zainteresowane zajęciami dorosłych. Tak więc uczestniczyło ono w naradach wodzów, przysłuchując się mądrym słowom doświadczonych ludzi, towarzyszyło pracy rodziców, często okazując nieporadne jeszcze próby pomocy. Dziecko brało również udział w większości ceremonii, było świadkiem triumfów i porażek swego plemienia. To pełne uczestnictwo w życiu społecznym indiańskiej wioski miało wielkie znaczenie dla prawidłowego rozwoju emocjonalnego dziecka. Ogrom pozytywnych wrażeń odbieranych przez indiańskie dzieci dawał im poczucie bezpieczeństwa i możliwość identyfikacji z grupą. Spoistość rodziny i panujące w niej autentyczne partnerstwo domowników sprzyjało emocjonalnej stabilności dzieci.

Zabawa w życiu małych Indian odgrywała wielką rolę i pochłaniała większą część ich wolnego czasu. Indianie dzieci miały do swej dyspozycji niewielką ilość zabawek i gier zręcznościowych, za to często bawiły się z psami, a także z oswojonymi zwierzętami przyniesionymi z lasu. Ale najbardziej podobały im się zabawy tematyczne. We wczesnych latach dziewczynki i chłopcy bawili się razem, ale później chłopcy zaczęli interesować się zajęciami swych ojców, podczas gdy dziewczynki naśladowały swe matki. Treść zabaw odzwierciedlała we wszystkich szczegółach życie dorosłych. Podczas zabaw dziecko uczyło się posługiwania się podstawowymi narzędziami pracy i w związku z tym bardzo szybko zacierala się granica między zabawą a pracą. Dziewczynki pomagały w pracach domowych - przynosiły drewno na opał i wodę, gotowały i opiekowały się młodszym rodzeństwem. Chłopcy pilnowali koni i pomagali przy pracach polowych. Dorosli często przypominali dzieciom, że praca jest najwyższym dobrem, a lenistwo prowadzi do ubóstwa.

Każdy czyn Indianina był aktem religijnym, a więc wszelkie przedsięwzięcia miały charakter religijny. Również podstawą wychowania była religia. Uczono dzieci poszanowania dla Wielkiej Tajemnicy, która przejawia się we wszystkim, co zostało stworzone. W społeczeństwach pierwotnych, gdzie zamiast współzawodnictwa istniała współpraca, gdzie przestępstwa i zbrodnie były niezwykle rzadkością, moralność była tam czymś zupełnie naturalnym. Przywiązanie do dóbr materialnych traktowano jako słabość i propagowano skromny styl życia oraz szczodrość i gościnność. Indianin nie silił się na bycie moralnym, po prostu jego natura była moralna. Dziecko, które się rodzi z korzystnymi zaletkami, jakie wychowuje się wśród szlachetnych ludzi, nie sprawia zazwyczaj poważniejszych kłopotów. Dla wzmocnienia i rozwinięcia moralnych cech takiego dziecka, często przekonywano je o słuszności czynienia dobrych uczynków. W gruncie rzeczy zaczynało się to już od kołysanek, wierszy, małych powiastek, których dziecko słuchało i które skłaniały je ku określonym sposobom postępowania oraz zapoznawały z poglądami społeczeństwa na sprawy wartości. Rozpatrywane zagadnienia przekonywująco ilustrują wspomnienia Longa Lance'a Buffalo Childa z plemienia ~~Mici~~.

Nie posiadaliśmy Biblii, tak jak biali chłopcy, toteż nasze matki uczyły nas żyć sprawiedliwie, opowiadając legendy o tym, jak powstały wszystkie dobre rzeczy. Mieliśmy jedną legendę na wszystko - od troski o nasze nogi, aż do „wielkiego wstydu”, który ogarniał tych, którzy mówili kłamstwa.

Metoda werbalna w wychowaniu moralnym wykazywała znaczną skuteczność właśnie w stosunkach, gdzie słowo pozostawało w zgodności z całokształtem stale obserwowanej i doświadczalnej przez dzieci działalności dorosłych i gdzie działalność ta wykazywała pewną jednolitość w całym plemieniu, a zatem w całym doświadczalnym świecie dziecka.

Indianie dzieci nie potrzebowały zbyt wielu instrukcji. Właściwie uczyły się najlepiej wtedy, kiedy nie były nauczone, a najbardziej efektywną formą poznawania codziennej rzeczywistości było naśladowanie. Najpierw dzieci zaczynały upodabniać się do swoich rodziców, później do starszego rodzeństwa, a następnie naśladowały znaczących wojowników i wodzów, których odwaga i dzielne czyny budziły podziw całego plemienia. Często rodzice wspominali dziecku o przykładowym życiu ich przodków, mówiąc na przykład:

„Twój dziadek był bardzo odważny, umiał wysoko skakać, szybko biegać i doskonale strzelać z łuku. Był również bardzo hojny i gościnny, zawsze opiekował się wdowami i sierotami. Myślimy, że twój dziadek jest dla ciebie dobrym przykładem, do naśladowania. Dziecko za każdy szlachetny czyn. Wszyscy mieszkańcy wioski głoszą komplementy na twój użytek takiego dziecka zachwycając się tym, jak bardzo musi ono być mądre i wielkoświatne. Sterano się przy tym, aby również inne dzieci mogły usłyszeć pochwały, zachęcając je tym samym do brania przykładu.

Natomiast gdy dziecko popełniło coś złego, rodzice w obecności innych współplemieńców okazywali dziecku swój żal z powodu jego niegodnego postępowania, a także wyrażali nadzieję, że podobne wydarzenie już nigdy się nie powtórzy. Kiedy nie odnosiło to oczekiwanego skutku odwoływano się do ostrzegania dziecka przed przykrymi konsekwencjami jego nieodpowiedzialnego postępowania. Hopiowie straszili nieposłuszne dzieci tym, że zostaną one porwane i zjedzone przez złe duchy, ostrzegano, że nie otrzymają podarków od Kacina. Mówiono im również, że nie okazując dorosłym należytego szacunku skracają sobie życie. Kiedy dzieci Cziweków hałasowały po zapadnięciu zmroku, mówiono im: „Bądźcie cicho albo zabierze was sowa”. Jednakże najczęściej stosowano ostrzeżenia jako środki, które zwracają się w pierwszym rzędzie do uczuć społecznych dziecka i osiągają sukces dzięki argumentom o charakterze społecznym. U Irokezów w następujący sposób przestrzegano niegrzeczne dziecko: „Jeśteś nicponiem, nikt w naszej wiosce nie będzie rozmawiał z chłopcem o zepsutym sercu”.

Kara cielesna, która w Europie od stuleci była podstawową metodą „wychowawczą”, u większości plemion indiańskich Ameryki Północnej w ogóle nie była znana. Robert Alt, profesor Uniwersytetu Humboldta w Berlinie stwierdza, że „im mniej skomplikowane są stosunki społeczne, tym mniej potrzebne są środki karzące, tym mniej rozwinięty jest w społeczeństwie system kar”. Plemiona, które wykazywały już podział klasowy jak np. Indianie Tlingit, nie znają jeszcze kary chłosty. W relacjach z pobytu u Irokezów Carl de Beau pisze: „Ojcowie nie wiedzą, co to znaczy karać dzieci... Gdy dzieci będą duże - tak mówią ojcowie - będą miały tyle rozsądku co my i staną się lepsze. Matki karzą dzieci tylko w ten sposób, że przyskają im wodę w twarz, albo tylko grożą”. W wielu plemionach dyscyplina nad dziećmi odzwierciedlała się w następującym postępowaniu: jeżeli dziecko źle się zachowywało, stawiano je pod specjalnym drzewem lub innym miejscem i kazano mu pozostać tam, dopóki nie przygotuje się w odpowiedni sposób do ponownego uczestnictwa w życiu plemienia. Jeżeli tego nie wykonało, lub gdy przypadek był szczególnie ciężki, stosowano inną technikę. Pozwalano dziecku robić co mu się podoba, chociaż gdzie chce, ale stawało się ono „niewidzialne” dla rodziny i grupy.

Bardziej radykalnych metod wychowawczych w stosunku do swych dzieci używali Hopiowie. Prawdopodobnie byli jedynym plemieniem, które stosowało kary cielesne, a oprócz tego korzystali z tzw. „odymiania”. Mianowicie, kiedy nawet bicie nie przynosiło odpowiednich rezultatów, kładziono kilka rozżarzonych węgli na gliniany talerz, przykrywano je gałązkami cedru i trzymano dziecko pod derką w dymie. Kiedy i to nie pomagało, zwiększano porcję dymu.

Należy w tym miejscu dodać, że w każdym plemieniu młodzi chłopcy wzajemnie wymierzali sobie chłostę, aby zahartować swe ciało i uodpornić je na ból. Również w okresie inicjacji byli oni poddawani rytualnej chłości, ale nie miało to nic wspólnego z karą cielesną.

U Indian wszelkie sprawy związane z życiem człowieka uważano za naturalne i godne poznania, a więc zagadnienia seksualne nie były dla dziecka żadną tajemnicą. Od najmłodszych lat obserwowały one rozmnażanie się zwierząt, spały razem z dorosłymi we wspólnych pomieszczeniach, często słyszały frywolne żarty o tematyce seksualnej. Indianie rozmawiali o seksie bez uczucia wstydu i zażenowania i w związku z tym dzieci bardzo wcześnie uświadamiały sobie znaczenie żeńskiego i męskiego czynnika w tworzeniu nowego życia. Szerszą wiedzę o problematyce płci oraz o zadaniach związanych z pełnieniem ról małżeńskich i rodzicielskich przekazywano młodzieży podczas obrzędów inicjacyjnych. We wszystkich plemionach chłopcy i dziewczęta w wieku dojrzewania płciowego przechodzili w trakcie tajemniczych rytuałów swoistą metamorfozę, przekraczali próg, za którym czekało ich dorosłe życie. Obrzęd inicjacji był dopełnieniem

Ich codziennej edukacji oraz egzaminem, podczas którego młodzież miała zaprezentować swe doświadczenia i umiejętności.

Obecnie, kiedy cała indiańska kultura i suwerenność zostały tak bardzo zagrożone w obliczu szaleńczego tempa rozwoju dwudziestowiecznej cywilizacji, problem wychowania jeszcze bardziej wysunął się na pierwszy plan. Indianie uznali zgodnie, że tylko wychowanie oparte na dawnych tradycjach może zapewnić Rodowitym Amerykanom przetrwanie i kontynuację egzystencji w oparciu o wielowiekową spuściznę ich przodków. Jednakże fakt, wynikający z bezpośredniego kontaktowania się ze światem białego człowieka, zmusza Indian do przejęcia niektórych obcych elementów kultury technicznej. Mottem przewodnim Szkoły Wolności Akwesasne jest hasło: „Dwa światy dla jednego ludu”. Głównymi założeniami szkoły są koncepcje suwerenności samowystarczalności i przetrwania.

Suwerenność odnosi się do historycznego faktu istnienia ludu Mohawków jako odrębnego narodu świata, posiadającego prawo do własnej religii, historii, ziemi i kultury.

Samowystarczalność oznacza zdolność ludu do wspierania siebie samego naturalnymi zasobami własnego terytorium.

Przetrwanie jest celem.

Podobne założenia są charakterystyczne dla wielu innych niezależnych od rządu szkół indiańskich. Między innymi szkoła Pine Hill, prowadzona przez Nawabów z Ramaho, kładzie duży nacisk na realizację idei samowystarczalności, rozwoju osobowości uczniów i wypracowania nowego wzorca kulturowego w oparciu o najlepsze tradycje Nawabów i świata anglosaskiego. Dla ułatwienia i wzbogacenia procesu nauczania szkoła Pine Hill wprowadziła Zwielokrotniony System Bodźców /Multiple Stimuli Approach/, który funkcjonuje w oparciu o zainteresowania własne uczniów. Należy podkreślić, że szkoła stawia na realizację każdej indywidualnej potrzeby i tym samym bardziej preferuje uczenie się niż nauczanie.

Dochodząc do konkluzji warto zastanowić się nad miejscem dziecka w naszej cywilizacji, gdzie rodzice tak często zapominają o swoim rzeczywistym powołaniu, stając się sędziami i trenerami własnego potomstwa.

Zapewne bardziej korzystne byłoby dla naszych dzieci i dla nas samych gdybyśmy, podobnie jak Indianie, traktowali je jako nauczycieli, od których można się wiele nauczyć.

Marek Hyjek

Bibliografia:

1. Robert Alt: Wychowanie u ludów pierwotnych. Warszawa 1960.
2. Wódz Słońca. Autobiografia D.C. Talayesvy, Indianina z plemienia Hopi. Warszawa 1964.
3. Brooke Medicine Eagle: To be a warrior. „Many Smokes” Vol. 14, No. 2 z 1980/81. /także Tawacin - lato 1987 „Być wojownikiem”/
4. Manitonquat: Return to Creation. Joyous childrising. „Many Smokes” Vol. 17, No. 1 z 1983. /także Tawacin nr 1 „Powrót do Tworzenia. Wesołe dzieciństwo”/
5. Manitonquat: Daughters of Creation. „Onaway” No. 28 z 1982.
6. The organisational philosophy of Pine Hill Schools. „Tsá ászí” Vol. 3, No. 3. 1978.
7. Walking in balance with children. „Many Smokes” Vol. 17, No.1, 1983.
8. Akwesasne Freedom School. „Akwesasne Notes” Vol. 14, No. 4, 1982.
9. Judi House: Parenting. „Many Smokes” Vol. 17. No. 1, 1983.
10. Growing up /Indian wise/. „Onaway” No 28, 1982.

/Referat ten ogłoszono 17 marca 1985 r. w Rybniku. Warszawy na II Ogólnopolskiej Sesji Naukowej Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian./

KONSTYTUCJA ŚWIATA

PRAMBUŁA

Ludzie dzielą wspólną odpowiedzialność za zachowanie i ochronę przetrwania naszej Matki Ziemi. Zgadamy się podtrzymywać jakość życia, która pozwoli ludziom wszystkich kolorów, ras i religii istnieć i rozwijać się. Zgadamy się także brać pod uwagę to, jak nasze działania mogą wpływać na przyszłe pokolenia.

ARTYKUŁ I.

Ludzie rodzą się z pewnymi podstawowymi prawami, w tym z prawem do życia w godności, z prawem do zachowania naszego bogatego dziedzictwa kulturowego i prawem do zdrowego środowiska. Te prawa przewyższają wiek, płeć, narodowość i pochodzenie etniczne.

ARTYKUŁ II.

Jako obywatele ziemi, dzielimy pewne prawa i obowiązki. Mamy prawo do istnienia w harmonii z naszym środowiskiem, ale dzielimy także odpowiedzialność za ochronę całej ziemi i życia przed zniszczeniem. Uznajemy, że Matka Ziemia jest żywa i dlatego podatna na zanieczyszczenie, zakażenie i zniszczenie naturalnej równowagi życia. Nikt nie ma prawa do zakłócania równowagi harmonii życia w sposób, który mógłby zagrozić naszemu podtrzymującemu życie środowisku.

ARTYKUŁ III.

Ponieważ historia świata od tak dawna jest szpeczona aktami zła, chciwości i gwałtu, ślubujemy poświęcić się pokojowi jako sposobowi życia. Aby żyć w zgodzie z prawami natury, uznajemy za podstawowe reguły: sprawiedliwości, dobroci, zrozumienia, pokory, współczucia, godności, uprzejmości, uczciwości, gościności, wolności, swobody i tolerancji. We wszystkich naszych działaniach zgodzamy się brać pod uwagę te 12 reguł.

ARTYKUŁ IV.

My, ludzie pokoju, niniejszym popieramy i ratyfikujemy tę konstytucję, ślubując przewyższyć pragnienie odwetu i rozstrzygać wszelkie przyszłe konflikty w sposób pokojowy. We wszystkich naszych działaniach zgodzamy się brać pod uwagę to, jak możemy wpływać na nasze dzieci z siedmiu przyszłych pokoleń.

Proponowana Konstytucja Świata jest dokumentem zakorzenionym w nauce Twórcy Pokoju - Hurona, który dawno temu założył irokeską Konfederację Haudenosaunee - Ludzi Drugiego Domu. W swojej wizji nadchodzących czasów powiedział on pierwszym narodom zjednoczonym świata, że jego postanie będzie kiedyś wysłuchane przez wszystkie ludy świata. Powyższa Konstytucję opracowali Jake Swamp, Greg Schaaf i Victor Lopez. Oczekuje się, że wiele grup pokojowych rozpatrzy tę propozycję i rozważy wspólne działania w celu przedstawienia jej na forum ONZ.

Z AKWESASNE NOTES (wczesna wiosna 1988) przełożył =MN=

Siostra Susan

Opowieść Charlie'go

Pewnego zimnego, zimowego dnia poszedłem w odwiedziny do jednego z moich najbliższych przyjaciół, Charlie'go Cree. Charlie jest bardzo stary i mieszka z żoną w skromnym domku wyeoko na wzgórzach w indiańskim rezerwacie Turtle Mountain. Jego dom był bardzo mały, ale za to ciepły i serdeczny. Kiedy siedziałam cicho obok Charlie'go, opowiedział mi taką historię.

Jako dziecko miałem czepewjskie imię 'Mały Chłopiec', ale agent z administracji rezeratu nie mógł wymówić mego imienia po czepewjsku, więc dał mi przydomek Cree.

Wiele, wiele lat temu, kiedy byłem małym chłopcem, chorowało wielu ludzi. Ja również zachorowałem. O tak, byłem wtedy bardzo chory. Jak już ktoś zachorował, to umierał, bo w tamtych czasach nie było szpitali.

Miałem gorączkę i było mi zimno. Pociłem się i miałem dreszcze. Nie mogłem nawet podnieść głowy. Z głębi serca pragnąłem powiedzieć: żegnaj mamę i tato i pójść do Dobrych Ludzi.

Każdy mówił mi, że dobrze jest być z Dobrymi Ludźmi. Mówili, że przyjemnie było z Dobrymi Ludźmi. Było dużo jedzenia, mówili, nie było zimno i każdy był szczęśliwy.

Ale moja matka nie chciała, abym poszedł do Dobrych Ludzi. Chciała, bym z nią został. Prosiłem ją, aby pozwoliła mi pójść, ale ona nie chciała. Płakała nade mną.

Potem powiedziała mi, abym zaczekał. Powiedziała mi, że chciałaby pójść do drugiego jeziora w puszczy i odnaleźć starą kobietę, która tam żyła. Miała na imię Wielkie Niebo. Chciała uleczyć mnie za pomocą Indianieckiego Lecznictwa.

Ta stara kobieta przyszła i kazała mi zdjąć koszulę. Zaczęła śpiewać i nacierać moje plecy i piersi. Oto pieśń, którą wcześniej rano śpiewała przy mnie:

Przychodzę z Południa,
Przychodzę stamtąd, gdzie jest ciepło,
Latam wysoko,
Widzę daleko,
Mam na imię Macheequaneesh.
Jestem Ptakiem Grzmotu.'

Wielkie Niebo skończyła śpiewać tę pieśń i zapłakała. Przyglądałem się jej i wiedziałem już wtedy, że była Świętą Kobiętą.

Powiedziała mi: 'Wielki Duchu, Manitou, daj mi tylko jedną siłę - siłę leczenia innych ludzi. Wielki Duch nie dał mi siły, bym mogła mieć własnych synów. Dał mi obowiązek leczenia synów innych kobiet. Będiesz żył długo, Macheequaneesh. Będiesz Ptakiem Grzmotu dla swych ludzi. Ale zanim wybierzesz się pewnego dnia do Dobrych Ludzi, musisz przekazać swoje imię komuś innemu i opowiedzieć mu historię twego uleczenia i powołania przez Wielkiego Ducha.'

Powiedziawszy te słowa, Święta Kobieta wyszła z naszego domu i nigdy więcej już jej nie widziałem. Moja matka i ojciec też już jej więcej nie widzieli. Musiała powrócić do Wielkiego Ducha, skąd przybyła.

Teraz starzeję się i muszę przekazać to imię komuś innemu. Wiem kto to będzie i pewnego dnia, już niedługo, będę miał ten obrzęd.

Tak, jest to prawdziwa historia. Jestem szczęśliwa, że znam człowieka, który otrzymał imię Charlie'go, Macheequaneesh. Zanim ten człowiek umrze, przekaze swoje imię komuś innemu. Imię nie umrze.

przełożył Marek Maciołek

PODZIĘKOWANIA Z BIG MOUNTAIN - ZIEMI INDIAN HOPI I NAWAHO

Pragniemy wyrazić naszą wdzięczność i uznanie członkom Grup Poparcia na całym świecie za całą pracę i zainteresowanie, jakie okazowaliście ludziom tej ziemi. Wiemy, że nie zawsze zauważacie rezultaty swoich działań i chcemy, abyście wiedzieli, że Starszyzna wyraziła swoje zdumienie i uznanie, że tak wielu jest ludzi nieobojetnych. Czasem praca staje się tak gorączkową, że nie wyrażamy wystarczająco naszego uznania. Jesteśmy przekonani, że Wasze wysiłki zapobiegły potencjalnej tragedii mieszkańców Obszaru Wspólnego Użytkowania (Nawahów i Hopiów) w chwili upłynięcia wyznaczanego terminu przesiedlenia. Mamy nadzieję, że najbliższy czas przyniesie ostateczne bezpieczeństwo ich życia i że nadal będziecie z nami współpracować, kiedy już to nastąpi.

Dziękujemy raz jeszcze - D. Blackgoat i personal
KOMITETU PRAWNEJ OBRONY I ATAKU BIG MOUNTAIN

10 LAT NAJDŁUŻSZEGO POCHODU

Latem 1978 r. Najdłuższy Pochód tysięcy amerykańskich Indian przybył do Waszyngtonu, aby zaprotestować przeciwko planom zatwierdzenia szeregu antyindiańskich ustaw.

W 10 rocznicę tego historycznego wydarzenia odbył się Duchowy Pokojowy Pochód Na Rzecz Świętej Fajki z Devils Tower w Wyomingu do kamieniołomów Pipestone w Minnesocie.

Uczestnicy Pochodu domagali się powstrzymania profanowania i sprzedaży świętych fajek, odzyskania przez Siuksów kontroli nad "Narodowym Pomnikiem" Pipestone i Czarnymi Wzgórzami oraz rewizji związanych z tym aktów prawnych.

"Najdłuższy Pochód nigdy się nie skończy, jeśli nie odzyskamy naszych praw i gwarantujących je traktatów".

AN/mm

ELIZABETH COOK-LYNN

- poetka i nowelistka z plemienia Dakotów /Siuksów/ z rezerwatu Crow Creek w Pd. Dakocie. Opublikowała dwa tomiki wierszy: Then Badger Said This /1977/ i Seek the House of Relatives /1983/. Jej opowiadania „The Power of Horses” i „A Good Chance” ukazały się w antologii Earth Power Coming /1983/ opracowanej przez Simona J. Ortiza. Obecnie pełni funkcję profesora Studiów Indiankich Uniwersytetu wschodniej części stanu Waszyngton w Cheney. Od 1985 r. wydaje czasopismo Picazo Sa Review poświęcone Studiom Indiankim.

W swej twórczości Elizabeth Cook-Lynn kreśli obraz wrażliwej i ocalałej kultury Indian prairii. Jej piękno i prawdę wyraża z autentyczną prostotą. Opowiada o życiu Dakotów w rezerwacie korzystając z własnych przeżyć. Każdy jej utwór zawiera cząstkę tajemnic, które podtrzymywały Dakotów przy życiu przez wiele pokoleń.

W wierszach i opowieściach Elizabeth Cook-Lynn można znaleźć zadumę i tęsknotę, zauroczenie i humor, a może i nawet przypomnienie, kierowane głównie do tych, którzy życie ujmują w kategoriach materialnych; przypomnienie, że tylko wartości duchowe są trwałe.

Nie jest to poezja łatwa w odbiorze. Czytelnik zostaje zaproszony do wejścia w świat odmiennej kultury, do której zrozumienia potrzeba mu zupełnie innej wyobraźni. W dedykacji do tomu Then Badger Said This autorka napisała: „Te opowieści, pieśni i wiersze są zmyślane, ale zrodziły się z bardzo prawdziwej i żywej przeszłości, która pozostaje niezapomniana. Jeśli nie wierzycie, że pamięć i wyobrażenia są składnikami historii, nie czytajcie tego tomika, bo jego zawartość nic nie będzie znaczyć. Jeśli zaś chcecie wierzyć, wierzcie ze swą domością, że nic nie jest całkowicie prawdziwe ani też nieprawdziwe, dopóki się tego nie zaakceptujecie”.

Publikowane tu utwory pochodzą z tomu Then Badger Said This wydane-go przez Ye Galleon Press, Fairfield, Washington w 1983 /wyd. 2/.

Copyright by Elizabeth Cook-Lynn

Przełożył Marek Maciołek



I

Suche fakty

Duch żyje
kiedy porusza i nuci twe imię
kiedy dziadek grzeje się razem
z kojotem, a jaszczurka nasiąka wilgocią
z ziemi, staje się zwinna i trudna do zabicia,
kiedy skowronek wlatuje prosto ku chmurom
a ty słyszysz płacz myszołowa pod kocem,
kiedy motyl cicho gawędzi z kobietami,
kiedy mrówki będą walczyć i ginąć aby tylko przenieść
kamyczki jak nasiona lśniące, spod kopca do grzechotki
kiedy zwisamy na czubkach palców, oddaleni i ukryci
na krawędzi słów.

Kres przychodzi szybko
kiedy świercz powie nam wszystko
co wie.

IV

Nie wszystko na świecie musiało mieć swój początek, gdyż pewne rzeczy były po prostu zawsze. Siuksowie mówią, że Inyan, kamień, jest przodkiem wszystkich istot i rzeczy. Mówiono, że Inyan był miękki, bezkształtny i wszechmocny, aż się rozwarł i począł krwawić. Potem stwardniał i rozdał część swej mocy. Od tego czasu ludzie mogli mówić o Tworzeniu.

V

Żyła kiedyś kobieta Sisseton, która umiała rozmawiać z kamieniami. Była bardzo znana wśród swego ludu dzięki tej niecodziennej umiejętności. Pewnego razu w jeziorze Kampeska utopił się biały chłopiec. Jego rodzina, łapiąc się ostatniej deski ratunku, wezwała tę kobietę i poprosiła o zlokalizowanie ciała niefortunnego pływaka. Ona przyszła ze swego domu w Browns Valley i przez całą noc chodziła wokół jeziora, a o świcie wskazała miejsce, w którym mieli znaleźć ciało. Przeszukali to miejsce i znaleźli ma tuki, ciało dokładnie tam, gdzie wskazała kobieta. Kiedy spytali ją jakim cudem zdołała dokonać tej nieprawdopodobnej rzeczy, odpowiedziała, że to kamienie jej pomogły.

XII

Wi i Hanwi byli niegdyś mężem i żoną. Bardzo się kochali, aż on zrobił coś, co ją zawstydziło. Po tym Wi zapanował nad dniem i każdej rzeczy dał cień. Hanwi miała pokierować nocą i wyznaczać czas na pewne nieuniknione zdarzenia. Oboje mieli równą siłę w różnych sferach, ale już nigdy nie byli razem. To bardzo smutna opowieść dla tego, kto był zakochany.

XV

Kiedy Dakotowie żyli naprawdę tak, jak chcieli, uważali że dobrze mieć tatuaż. Dzięki niemu mogli być rozpoznawani przez babki, które stały na ścieżce dusz wstępujących do świata duchów i pytały: Wnuczku, gdzie masz tatuaż? Jeśli jakiś Dakota nie mógł im pokazać swego znaku, spychały go w otchłań i już nigdy nie osiągał on krainy duchów.



CO DALEJ Z CZARNYMI WZGÓRZAMI ?

Niedawno minęło 110 lat od czasu, gdy rząd Stanów Zjednoczonych odebrał Indianom Dakota (Siuksom) Czarne Wzgórza. Od tego czasu Indianie nieustannie starają się je odzyskać.

W lipcu 1986 r., po czterech latach przygotowań, projekt Ustawy o Czarnych Wzgórzach Narodu Siuksów trafił pod obrady senackiej Komisji do Spraw Indian Kongresu USA. Projekt przewiduje zwrócenie Indianom 1,3 mln akrów (520000 ha) ziem federalnych w Czarnych Wzgórzach, nielegalnie odebranych Wielkiemu Narodowi Siuksów w 1877 r. Zatwierdzenie projektu oznaczałoby utworzenie Parku Narodowego Siuksów i lasów państwowych pod zarządem przedstawicieli ośmiu plemion Siuksów. Projekt przewiduje też wypłacenie 156 mln dolarów rekompensaty za wykorzystywanie Czarnych Wzgórz od 1877 r.

Przed Komisją do Spraw Indian będzie zeznawać ponad 30 świadków z 8 plemion Siuksów, m.in. Frank Fools Crow - szaman Oglalów, Billy Mills - zdobywca złotego medalu olimpijskiego z lat 60. i Robert Fast Horse - sędzia Plemienia Siuksów Oglala. Zeznania złożą też przedstawiciele Banku Narodowego Indian Amerykańskich, Krajowego Kongresu Indian Amerykańskich i biali mieszkańcy Czarnych Wzgórz. "Przynajmniej ktoś nas słucha. Przynajmniej postawiliśmy stopę w drzwiach" - stwierdził przewodniczący Plemienia Siuksów Oglala Joe American Horse. Po przesłuchaniach w Komisji, zebraniu opinii Służby Leśnej, Biura Zarządu Ziemi i innych urzędów federalnych oraz wniesieniu poprawek projekt ustawy zostanie przedstawiony Senatowi, a jeśli zostanie zatwierdzony - trafi pod obrady Izby Reprezentantów, która podejmie ostateczną decyzję.

W grudniu 1986 r. Federalny Sąd Apelacyjny stanął po stronie Plemienia Siuksów Oglala i cofnął decyzję tzw. Sądu Roszczeniowego (US Claims Court) z 1985 r., przyznającą plemionom Siuksów ok. 40 mln dolarów rekompensaty za złamanie się przez nich praw do Czarnych Wzgórz. Większość Siuksów odrzuciła wówczas tę ofertę władz. Grudniowa decyzja wstrzymała przymusową wypłatę rekompensaty, nakazując rozpoczęcie nowego procesu przed Sądem Roszczeniowym.

Mario Gonzales, obrońca Plemienia Siuksów Oglala, określił tę decyzję jako "częściowe zwycięstwo" i zauważył, że ironią losu domagający się wstrzymania wypłat Oglalowie stali w tej sprawie po stronie władz, bowiem inne plemiona Siuksów zgodziły się na przyjęcie rekompensaty. Gonzales stwierdził, że plemię odrzuciło 40 mln dolarów, ponieważ chce się wycofać z ciągnącego się już 65 lat procesu sądowego i zwrócić się do Kongresu o zwrot ziem i odszkodowanie pieniężne. Oglalowie nie zgadzają się z sądową interpretacją traktatu z 1868 r. jako traktatu o zrzeczeniu się przez Siuksów 48 mln akrów (19,2 mln ha) ziem leżących poza ówczesnym Wielkim Rezerwatem Siuksów. Indianie traktaty powinny być interpretowane liberalnie, tak jak je rozumieli Indianie, a Siuksowie Oglala nigdy nie zamierzali zrzec się w traktacie z 1868 r. żadnych ziem. Gonzales powiedział też, że "uważając traktat z 1868 r. za traktat o zrzeczeniu się ziem, rząd federalny uwalnia się od wypłaty ok. 100 mln dolarów za ziemie, które faktycznie skoniskował w 1877 r."

Zdaniem wodza Joeego American Horse'a decyzja ta jest korzystna, bowiem "daje chwilę oddechu" dla przygotowania sposobu przedstawienia sprawy w Kongresie, wysłania do Sądu Najwyższego w kwestii praw traktatowych oraz wystąpienia do Sądu Roszczeniowego o 65 mln dolarów zaległych odsetek. =MN=

Istotną - choć często dotąd ignorowaną - częścią długotrwałego konfliktu wewnętrznego w Nikaragui jest walka nadatlantyckich Indian o niezależność. Działania na rzecz zjednoczenia walczących Indian oraz nowe propozycje pokojowe (zob. WALAM OLUM) stwarzają nadzieję na jego pomyślne zakończenie.

YAPTÍ TASBA MASRAKA NANÍ ASLA TAKANKA (YATAMA)

DEKLARACJA NIKARAGUAŃSKICH TUBYLCÓW

Organizacja YATAMA i jej obronne skrzydło, front ludów Miskito, Sumo, Rama i Kreoli z Atlantyckiego Wybrzeża Nikaragui, znajdują się w trakcie procesu przetrwania i rewindykacji ich historycznych wobec sandinistowskich władz Nikaragui. W świetle obecnej sytuacji politycznej i regionalnych wysiłków pokojowych, YATAMA ogłasza krajowej i międzynarodowej opinii publicznej co następuje:

1. Od 11 do 16 czerwca 1987 r. odbyliśmy w Rus-Rus, w Moskitii generalny kongres naszych społeczności, który zaowocował ponownym zjednoczeniem naszych grup i przywódców w ramach jednej organizacji YATAMA.

2. W Rus-Rus wyjaśniliśmy, że obecny konflikt wynikł z odmawiania nam historycznych praw do ziemi i samorządu, co nasze społeczności cierpiały z rąk Sandinistów.

3. Nasze społeczności wycierpiały więcej, niż jakikolwiek sektor Nikaragui, ale jednocześnie opierały się utracie naszych praw na rzecz Sandinistów. W rezultacie przez sześć minionych lat nasi indiańscy bojownicy, prawdziwi synowie naszych społeczności, rozwinięli niezłomny (niepokonany) opór w celu obrony naszego przetrwania i naszej wolności.

4. W oparciu o nasze tradycyjne pokojowe drogi i nasze dążenia do pokojowych rozwiązań, entuzjastycznie popieramy pokojowy plan przedstawiony przez prezydentów Ameryki Środkowej w Esquipulas, w Gwatemali. Jednocześnie zachęcamy wszystkie strony zaangażowane w konflikt do poparcia tego rozwiązania i do działań z rozsądkiem i dobrą wolą w celu zrealizowania planu pokojowego. Uważamy, że plan wyraża nasze pragnienie wolności i pokoju dla wszystkich ludów Ameryki Środkowej.

5. Z całym należnym szacunkiem nalegamy, aby autorzy planu rozważyli szczególną sytuację indiańskich ludów w narodowym kontekście każdego z krajów tego obszaru. W szczególności przypadku Nikaragui jako części planu pokoju i demokratyzacji kraju nalegamy, aby konflikt Sandiniści-YATAMA został skierowany w kierunku pokojowych negocjacji obu stron.

6. Nalegamy na zaprzyjanie rządu, organizacje międzynarodowe, uznane osobistości i wolnych ludzi, aby aktywnie poparli nasze wysiłki w kierunku odbudowy pokoju i zapewnienia sprawiedliwości dla dla narodów Indian i Kreoli. Nalegamy także na prezydentów państw Ameryki Środkowej, Międzynarodową Komisję Weryfikacyjną i Komisję Pojednania Narodowego aby rozstrzygnięcie konfliktu YATAMA-Sandinisci stało się integralną częścią rozstrzygnięcia na rzecz narodowego i regionalnego pokoju.

NARODOWY POKÓJ ZE SPRAWIEDLIWOŚCIĄ DLA INDIAN

DYREKTORIAT YATAMA - Brooklyn Rivera, Chale Morales Lopez, Stedman Fagoth Muller, Wycleff Diego Blandon

Groby Hidatsów

Przy pierwszych spotkaniach z białymi Hidatsowie żyli w trzech wioskach położonych nad rzeką Knife niedaleko Missouri. W pierwszych pracach poświęconych Hidatsom nadawano im różne nazwy np. Przez niektórych nazywani byli Minnetaree, przez innych Gros Ventre Missouri dla odróżnienia od Gros Ventre Prerii czyli Atsina.

Jest oczywiste, że Crow i Hidatsa byli jeszcze kilka pokoleń temu jednym narodem, być może żyli w jednej wielkiej wiosce lub kilku w pobliżu siebie, tak jak to było u Mandanów, i z pewnych nieznanych przyczyn rozdzielili się i ci których dziś nazywamy Crow poszli w górę Missouri. Tu zmieniło się ich życie. Już nie zamieszkiwali ziemianek lecz skórzane tipi, które ozdabiały się sporymi rozmiarami i pięknym ornamentem.

Hidatsa, sąsiedzi Mandanów, na początku XIX w. mieszkali u brzegów rzeki Knife przy i ponad jej ujścia do Missouri. Zwyczaje obu plemion były podobne. Le Raye, który przybył do Mandanów na początku czerwca 1802 roku pozostawił ciekawy opis zwyczajów pogrzebowych, który nienal pokrywał się z opisem takich zwyczajów u Hidatsów: "Dawniej byli liczniejsi, lecz czarna ospa zebrała śmiertelne żniwo. Lud ten pozostawia ciała zmarłych tak jak Mandanowie, lecz w większej odległości od wioski". (Le Raye). Odległość rusztowań od wioski zaobserwował Bradbury, który odwiedził Hidatsów 9 lat po Le Raye'u. Opowiada o przybyciu na brzeg rzeki "naprzeciwko trzeciej wioski Minnetaree czyli Indian Gros Ventre, gdy już zapadała noc. Na nasze wołania kilku Indian podeszło do brzegu i natychmiast pobiegło spowrotem do wioski. Za kilka minut widzieliśmy jak wracają w towarzystwie sześciu kobiet, z których każda niosła skózaną łódź na plecach i wiosło w ręce." (Bradbury). Przedostali się w ten sposób na drugi brzeg, a Indianie przeprowadzili konie. Kobiety dostały "po trzy kule i trzy porcje prochu dla każdego mężczyzny jako opłata za przeprawę." 24 czerwca 1811 roku Bradbury będąc w wiosce Hidatsów napisał: "przechodziłem przez lasy, gdy odkryłem platformę zamocowaną między czterema blisko siebie stojącymi drzewami, na wysokości ok. trzech metrów od ziemi. Na platformie tej leżało ciało Indianina owinięte w skórę bizona. Jako, że platforma była bardzo wąska, trudno było dobrze dojrzeć co na niej leżało. Z niemałymi kłopotami udało mi się jednak zobaczyć, że obok ciała mężczyzny leżał łuk i kołczan ze strzałami, tomahawk i nóż do skalpowania. Około pół kilometra od wioski znajdowało się wiele podobnych platform, ale z obawy przed urażeniem uczuć Indian starałem się unikać tych miejsc. Zauważyłem bowiem, że mimo, iż mają w zwyczaju ekspozowanie ciał swych zmarłych przodków, to jednak mają je w wielkim poszanowaniu, co jest bardzo charakterystyczne dla Indian Amerykańskich.

Gdy w 1833 roku dotarł do Hidatsów Maximilian, żyli oni nad rzeką Knife, kilka mil od wiosek Mandanów. Określił obrzędy pogrzebowe obu plemion jako podobne, chociaż u Hidatsów, "gdy dwóch pokłóci się i pozabija, Pan Życia jest niezadowolony, i ci którzy istotnie tak robią grzebani są w ziemi, by nikt już ich nie widział. Wtedy na ich grobie kładzie się głowę bizona, żeby stada nie oddaliły się, bo gdyby poczuły tegoż przekłętą leżącego w ziemi, mogłyby uciec i już nigdy nie powrócić. Dobrych kładzie się na rusztowaniach, by dostrzegł ich Pan Życia." (Maximilian).

Wielu Hidatsów przeniosło się około 1845 roku z dawnych siedzib nad rzeką Knife w pobliżu starego Fortu Clark. Według relacji Culberstona z 13 czerwca 1850 roku "na równinie w pobliżu fortu jest miejsce pochówku, gdzie stoi wiele rusztowań, a także znajduje się wiele grobów ziemnych. Wiele z rusztowań było załamanych i ciała na nich leżące spadały na ziemię. Wiele też czaszek walało się po ziemi." (Culberston). W trzy lata później 9 października 1853 roku



zanotowano podobną relację o Hidatsach mieszkujących w pobliżu Fortu Berthold: "Indianie ci, tak jak i inne plemiona, mają szczególny sposób układania swych zmarłych. Leżą na rusztowaniach na wysokości od półtora do dwóch i pół metra nad ziemią, owinięci we wszystkie koce i skóry należące do nich za życia, z zapasem jada, strzał, mokasynów itp. do wykorzystania w krainie szczęśliwych łowów. Miejsce ostatniego spoczynku Indianina jest tak święte dla jego przyjaciół, jak dla białego grób, a ktokolwiek by zakłócił je w jakikolwiek sposób naraził się na zemstę Indian." (Saxton).

Morgan odwiedzając w 1862 roku wioski Hidatsów i Mandanów położone nad Górną Missouri pozostawił krótki opis cmentarza indiańskiego w pobliżu osady. "Osada ta leży na wysokim brzegu w zakolu rzeki po jej północno-wschodniej stronie. Z trzech stron (z wyjątkiem wysokiego brzegu) okolona jest drewnianą palisadą z dwoma lub trzema bramami czy otworami. Około kilometra za wioską na otwartej prerii znajdowało się pole gęsto usiane rusztowaniami. Było ich około dwustu, jedno blisko drugiego, z jednym lub dwoma ciałami. Cztery pale wbite w ziemię połączone są deskami na krzyż na wysokości ok. dwóch i pół metra wysokości. U góry buduje się podłogę z mniejszych kawałków, związanych niewyprawionymi rzemieniami. Na niej położona jest skóra bizona. Ciało ubrane i pomalowane, odkryte kocami - czerwonymi lub niebieskimi - kładzie się na rusztowaniu i przywiązuje do niego kawałkami niewyprawionej skóry. Jedno ciało było częściowo odkryte i widać było głowę spoczywającą na poduszce, ręce skrzyżowane na piersi i fajkę z katłinitu z długą drewnianą lulką opartą o ramię po prawej stronie ciała. U stóp umocowane było zawiniątko przywiązane do rusztowania." (Morgan).

W roku 1877 trzy plemiona - Hidatsa, Mandan i Arikara zajmowały wioskę przy Fortcie Berthold, na brzegu Missouri. W wiosce było wiele ziemianek, ale były też domki drewniane, podobne do domków stawianych przez pionierów ze Wschodu. Matthews w swojej relacji z tego okresu pisze: "Na prerii, niedaleko od wioski, stoją rusztowania i znajdują się groby ziemne. Dawniej na platformach kładzeni byli wszyscy zmarli z wioski, jak to robi większość plemion znad Missouri. Ale praktyka chowania zmarłych w ziemi - podpatrzona u białych i u Arikarów - staje się coraz bardziej popularna. Z każdym rokiem ilość platform maleje, a wzrasta ilość grobów. Gdy Indianie polują z dala od wioski, wtedy jeśli obozują w lasach, kładą swych zmarłych wprost na gałęziach drzew." (Matthews). Odnosić się to miało do wszystkich trzech plemion, ale wątpliwe jest, czy Arikarowie kiedykolwiek stawiali platformy. Natomiast wyłącznie o Hidatsach Matthews pisał: "Ich wiara w życie przyszłe wygląda następująco: gdy Hidatsa umiera jego cień błąka się przez cztery noce wokół obozu lub wioski w której zmarł, a później idzie do domu swych krewnych w Wiosce Z arłych. Gdy tam dociera nagrodzony jest za swe zalety, silną wolę i ambicję na ziemi; bo tam, jak i tu, odważny człowiek jest otaczany szacunkiem, a tchórz pogardą. Powiadają niektórzy, że duchy samobójców zajmują oddzielną część wioski, ale pod innymi względami są takie same. W przyszłym świecie cienie ludzkie polują i żywią się cieniami bizonów i innych zwierząt, które zmarły na ziemi. Są tam też cztery pory roku ale następują po sobie w przeciwną kolejność do tej na ziemi. W czasie tych czterech nocy, podczas których duch zmarłego błąka się obok swych dawnych domów, ci którzy go za życia nie lubili lub bali się go i nie chcą spotkać się z jego duchem, pocierają swoje mokasyny rozgrzanymi węglami i wystawiają je w drzwiach domów. Twierdzą, że zapach palącej się skóry odpycha duchy. Ale prawdziwi przyjaciele zmarłego nie robią takich rzeczy." Poza tym "wierzą oni w istnienie widzialnych duchów ludzkich i innych, ale nie wydaje się, żeby obawiali się cmentarzy." (Matthews).

Inna relacja sporządzona mniej więcej w tym samym czasie podaje: "Gros Ventre i Mandanowie nigdy nie grzebią swoich zmarłych w ziemi, lecz zawsze na rusztowaniach zbudowanych z czterech pali około dwóch i pół metra wysokości, na których kładą skrzynie z ciałem zawiniętym w czerwone lub niebieskie płótno albo koc. Przybory i broń kładzie

się pod ciało i żaden Indianin nie waży się ich dotknąć, zostają tam na zawsze. Dotknięcie takie sprowadza na człowieka nieszczęście. Jeśli ciało z jakiegś przyczyn spadnie na ziemię nigdy się go nie dotyka i nie wkłada się go ponownie na platformę. Gdy ktoś umrze natychmiast wyprawia mu się pogrzeb, czasem nawet w ciągu godziny, przyjaciele zaczynają owijać ciało, a potem dzień i noc czuwają przy grobie, bez jedzenia, czasami trzynaście do czterech dni. Żałobnicy są zawsze opłacani przez innych przyjaciół zmarłego, a ci którzy pozostają przy grobie najdłużej opłacani są najwyżej. Swoją żal i miłość do zmarłego okazują przez kaleczenie swych ciał i to czasami przez długie tygodnie. Włosy które noszą w długich warkoczach, także ścinają na znak żałoby. Są dumni ze swych cierpień. Widziałem młodzieńca, który właśnie pochował swą matkę - przyszedł chwalić się i pokazując swe pokrwawione nogi." (Yarrow)

David I. Bushnell, "Burials of the Algonquian, Siouan and Caddoan Tribes West of the Mississippi", Waszyngton 1927, str. 73-78.
Tłum. Ewa Stańska.

OKRADANIE GROBÓW

W ostatnich latach (tekst pochodzi z roku 1940 - przyp. red.) Komancze byli często nękani przez upiory. Zwyczaj grzebania rzeczy należących do zmarłego razem z nim oraz rzucania wartościowych przedmiotów do grobu przetrwał do dzisiaj. Grabieżczy biali dopuszczali się ekshumacji zwłok, aby pozbawić je wszystkich wartościowych rzeczy. Znamy jest przypadek grobu syna pewnego Indianina, który otwierany był z pół tuzina razy. Naturalnie uwaga nasza skierowana jest na możliwość okradania grobów przez Indian jeszcze przed rabunkami białych ludzi. Pytanie to spotkało się z zaprzeczeniem, aż do momentu kiedy Slope podał jeden przykład.

"W jaskini znajdował się bogaty człowiek. Ciało jego ubrane było w najlepszą odzież i kiedy złożono je w jaskini wejście zawałono kamieniami. Żałobnicy zeszli ze wzgórza w kierunku obozu i jak tylko zniknęli z pola widzenia taką (biedak), który ukrywał się w pobliżu wyszedł z ukrycia i usunął górne głazy z wejścia. Włożył rękę do środka i poczuł podobne do bobrowych włosy człowieka i jego srebrne kolczyki. Świeże powietrze przywróciło zmarłemu życie i złapał on grabieżcę za rękę. Młodzieniec tak się przeraził, że wydał przeszywający krzyk i usiłował uciec, ale wówczas człowiek przemówił do niego. Błagał go, aby ten przyniósł mu trochę wody do picia. Poprosił biednego chłopca, aby dogonił oddalających się krewnych i powiedział im, że on żyje. Powiedział też młodzieńcowi, że da mu wszystko co tylko będzie chciał. Chłopiec puścił się biegiem, aby powiedzieć żałobnikom co zobaczył. Kiedy ich dogonił zwierzył im się ze swojej próby ograbienia grobu i opowiedział co mu się tam przydarzyło. Oni natychmiast zawrócili i udali się do jaskini. Tam znaleźli swego krewnego tak jak im opowiedział chłopiec. Odrzucili resztę głazów i dali mu wodę do picia. Z wdzięczności dla chłopca wybaczyli mu jego czyn i dali mu odzież, którą miał na sobie pogrzebany oraz cztery konie".

Jest dosyć oczywiste, że rabowanie grobów nie mieściło się w kategorii powszechnych wykroczeń. Nie było potrzeby opracowywania szczególnych przypadków postępowania z takimi przestępcami. Jeden cytowany przypadek mógł łatwo być przedstawiony inaczej, gdyby nie był w rezultacie uratowania "zmarłego" człowieka. Niektórzy przypuszczają, że przypadek ten może być bardziej legendarny niż autentyczny.

E. Adamson Hoebel, "The Political Organization and Law-ways of the Comanche Indians", (Amer. Anthropol. vol. 42, No. 3, part 2, 1940.)
Tłum. Leszek S. Cyryłowski.

Poniższe informacje zaczerpnięto z broszury wydanej przez Haskell Indian Junior College i zatytułowanej "Honorowi weterani pow-wow". Szkoła Haskell, prowadzona przez Biuro do Spraw Indian, została założona w 1884 r. w miejscowości Lawrence, w stanie Kansas. Uczy się tam młodzież z wielu plemion - tworząc tygiel narodów, podobnie jak na spotkaniach pow-wow.

Pow-wow to jedna z odziedziczonych tradycji Indian amerykańskich, to jedna z bardziej znaczących dróg, jakie wyrosły na tradycyjnych wartościach i kulturze tubylczych Amerykanów. Droga ta mogą podążać współcześni ludzie - tak Indianie, jak i nie-Indianie. Niektóre elementy pow-wow wydają się być tylko rozrywką, okresowym świętem, na którym śpiewa się, bębni i tańczy. Jednak pow-wow jest także czymś więcej - to wyraz pewnych duchowych i emocjonalnych aspektów naszego humanizmu. Każda pieśń, każdy taniec, każdy gest i szczegół przepięknych strojów zawiera w sobie część naszego dziedzictwa, sięgającego naszych korzeni z odległych czasów. Poprzez pow-wow śpiewamy dług szacunku i honoru naszej starożytności, naszym przodkom, sławnym Indianom i całej historii. Pow-wow jest dziś miejscem spotkania starych przyjaciół i krewnych, ale przyczynia się też do zawierania nowych znajomości. Jest to chwila, kiedy rozmawiany ze wszystkimi naszymi braćmi i siostrami oraz z naszymi gośćmi. Jest to czas uśmiechów i zabaw, ale także czas na refleksję o przeszłości i naszym życiu, o naszych przyjaciółach, krewnych i ukochanych, czas zastanowienia się nad przyszłością. Wiele chwil spędzonych na pow-wow ma więc charakter towarzyski, ale ma też duże znaczenie duchowe i religijne.

Potrzebne jest także wzrokowe utwalenie naszej kultury. Służą one później do poszanowania naszego tradycyjnego dziedzictwa. Powinno to być też odbiciem postaw i duchowych więzi między nami wszystkimi. Jesteśmy naszym dziedzictwem i jest nadzwyczaj ważne, abyśmy mogli się cieszyć pełnią życia. Pow-wow to źródło naszej tożsamości jako narodu.

Pow-wow to naturalny pomost łączący i wzmacniający pokrewieństwo między Indianami i nie-Indianami. Indianie tańczą i śpiewają jako tradycyjna sztuka, wzmocniona przez tradycyjne i współczesne indyjskie ubiory, rozwijają poczucie estetyki i piękna wśród uczestników i wśród widzów. Wybitni pieśniarze i tancerze są wzorami dla naszej młodzieży i naszej kulturowej przyszłości. Pow-wow jako takie - to jedna z wielu okazji do poznania i zapamiętania indyjskich artystów oraz doskonała okazja do rozwoju wymiany międzykulturowej.

Dość duże znaczenie ma podczas pow-wow bęben. Symbolizuje on życie i jest porównywany do bicia serca tubylczej społeczności. Jest on naszą "BABKA" i podobnie jak naszą starożytność, należy traktować go godnie i z szacunkiem. Jako jeden z najlepszych przejawów sztuki Indian, pow-wow pozwala ludziom różnych kultur na wzajemne zrozumienie i przyjaźń.

Wyraz pow-wow pochodzi z języka Narragansetów i oznacza szamana lub uzdrowiciela. Błędnie zrozumiany przez angielskich osadników, był identyfikowany z zebraniem ludzi wokół szamana przeprowadzającego lecznicze ceremonie. Dzisiaj pow-wow oznacza zebranie tubylczych Amerykanów, organizowane zwykle dla wspólnych śpiewów i tańców.

tlun. SZAMAN

"NIEAWIDZĘ PISANIA - moja kultura ma tradycję ustną" - powiedział kiedyś Russell Means. I jego duch - na dobre i na złe - unosi się nad naszym Ruchem. Lubimy gadać, dyskutować, spierać się. Nie lubimy przelewać naszych myśli na papier.

Większość z nas lubi czytać o sobie, o nas - o Ruchu. Chcemy wiedzieć, "co słychać" u innych i sami pragniemy się czasem pochwalić. Pragnienie zdobywania wiedzy, współuczestniczenia w życiu społeczności, utrwalania własnych przeżyć i osiągnięć, ciekawość wreszcie - to uczucia naturalne i znane w każdej kulturze. Lubimy wiedzieć, co robia, co myślą i jak widzą nas inni. Lubimy o tym czytać. Ale pisać o tym - nie chcemy. Nie lubimy? Nie umiemy? Nie mamy o czym? Każdy z nas znajdzie swoje powody, swoje wymówki. Ja też...

I dlatego - chociaż wiele rzeczy ważnych i ciekawych działo się minionego lata - nie będę o tym pisał.

Nie jestem Lakotą. Nie odrzucam pisania - jest częścią mojej kultury. Ale nie chcę być wyjątkiem. Nie chcę "monopolu". Nie piszą inni - nie będę i ja. Być może nie jest to nikomu tak naprawdę potrzebne. I bez tego można żyć...

Dlatego nie napiszę o żadnym ze spotkań, których tak wiele - i tak różnych - było w ostatnich miesiącach.

Nie napiszę o czerwcowej "inauguracji sezonu" w Chodzieży. O niby-znanych ludziach w jakby-znanym miejscu i pobudzających klimatach odradzanych pomysłów. Ani o poprzedzającym ją klubowym obozie Chodzieżaków - z pamiętnymi obrzędami i niejasną i poświęcaniem nowych tipi. Z potłaczem i prezentami. Z autentycznymi łzami wzruszenia i poczuciem wspólnoty.

Nie będę tym razem pisał o XII już Zlocie PRPI. O jego atmosferze - w każdym znaczeniu odmiennej od ubiegłorocznego bagnistego dołka wokół tiotipi na "Florydzie". Nie napiszę o rzeczach niezapomnianych, ani o niewybaczalnych. O przygotowywanych przez młodą grupę białostocką niespodziankach, ani o żywiołach, które pochłonęły blisko 200 uczestników i prawie całą stronę organizacyjną Zlotu.

Nie napiszę też o pozlotowych występach w Mragowie. O wakacyjnych wędrowkach po górach i jeziorach. O weekendach na Papierni, klubowych wieczorach w miejskich blokach i nocnych wyprawach na spotkanie z Naturą.

Nie będę nie pisał o wrażeniach z pobytu naszej "delegacji" na międzynarodowym zlocie "indianistów" w NRD. O tych 120 tipi z pełnym "klasycznym" wyposażeniem. O setkach strojów i kilogramach ozdób. O wielogodzinnych obrzędach, różnorodnych tańcach, porannych seansach, wideo i wieczornych piosenkach (indyjskich!) przy ognisku. Nie będzie fascynacji swobodą, porządkiem i doskonałą organizacją obozowego życia. Nie będzie opisów "folkloru", ani relacji z "politycznych" narad. Nic o rozmowach i planach, kontaktach i kontraktach. I ani słowa o Karolu Mayu i jego muzeum.

O tym wszystkim, i o własnych błędach każdy z nas, obecnych w Triptis, mógłby nie tylko opowiedzieć, ale i napisać. Z tego można wiele skorzystać. Ale czy nam na tym zależy?

Dlatego nie będzie relacji z Wilków, opisu kolejnego "indyjskiego" slubu w Sztumie, wrażeń z Pożegnania Lata pod Chodzieżą. Nie będzie nic o opowieściach Sat Okla i Halika, o "twórczości" Fiedlera i Yackta-Oyi. Nie napiszę nic o nowych publikacjach i indyjskiej muzyce TAWACINU. O naszych artykułach w prasie, materiałach i wieściach z Ziemi Indian.

Nie napiszę. Poczekam. A Ty?

Marek Nowocien

OBOZ W TRIPTIS, NRD



Pod koniec sierpnia miałem okazję zwiedzić NRD, poznać tamtejsze życie i niezwykłą życzliwość Niemców. Wśród wielu atrakcji znalazły się także akcenty "indiańskie".

Lipsk - miasto Bacha - posiada największe muzeum etnograficzne w NRD - Grassimuseum, gdzie zgromadzone są ogromne zbiory obrazujące historię i kulturę narodów Azji, Oceanii, Afryki i Ameryki. Plakaty w hallu muzeum dowodziły niejednokrotnych wystaw sztuki Indian Ameryki Pn. Niestety, nie trafiłem na taką ekspozycję. Zwiedziłem natomiast wystawę poświęconą tubylczym narodom Związku Radzieckiego. Oglądając stroje i przedmioty Czukczów, Jakutów i innych, będąc po raz pierwszy w życiu w jurcie, mogłem się przekonać, jak bliskie jest dziedzictwo kulturowe narodów Syberii i Ameryki Pn.

Drezno - miasto Augusta Moonego - słynne jest nie tylko z Zwingeru, ruin zamku naszego króla w centrum miasta i największego zbioru kosztowności w Europie, ale też z Biblioteki Saskiej, gdzie na największym zabytku są rękopisy Majów. A w dzielnicy Radebeul - słynne Indianermuseum, funkcjonujące od 1928 r. w miejscu, gdzie żył i pracował Karol May. Jego książki, ze względów ideologicznych, jeszcze niedawno znajdowały się w NRD na indeksie. Nazwisko Maya zniknęło z nazwy muzeum i z ulicy, na której się znajdowało. Zaczęła się także wyprzedaż eksponatów Niemcom z RFN. Dziś w "Villa Barenfett" - stylowym domku, przed którym stoją dwa totemy - ekspozycja znajduje się już tylko na parterze. To mł. że Maya czytał i Einstein i Liebknecht. NRD-owcy pamiętali, że był on ulubionym pisarzem Hitlera. Te czasy należą już do przeszłości. Dziś przy Karl-May-Strasse 5 można już oglądać 13-kiłową miedź wiodówkę, sztucer Henry'ego, a przede wszystkim - figury Indian naturalnej wielkości, często jak żywe.

Podziw budziły postaci wodza Dakotów, Tlingitów czy Irokezów, a także "medicine-mana" w ekstazy tańcu, czy uśmiechającej się Indianki Czarnych Stóp. Była też indiańska rodzina przed swym tipi w chwili przed bitwą, do której spotkali się nadjeżdżający wojownicy wrogiego plemienia, mroźne eksponaty z życia codziennego różnych grup kulturowych, od Indian Alaski do Pueblo, podobizny znanych wodzów i wielki obraz, przedstawiający bitwę pod Little Big Horn.

W innym, murowanym domku - ekspozycja wydań książkowych powieści Maya i eksponaty z Bliskiego Wschodu - drugiej fascynacji pisarza. W sklepiu, oprócz pocztówek i przewodników, można było nabyć film o "Dakotach" (z NRD = Red.) oraz pisma niemieckich indianistów. Pięknie ilustrowany zeszyt "Walka o prerię" opracował dr Ulrich van der Heyden, który specjalizuje się także w problematyce południowoafrykańskiej. To nie przypadek - kolejne pismo, "Ametas" w części dotyczy losu Indian w Ameryce Pn., w części losu czarnych w RPA. Bohaterami numeru są i Nelson Mandela, i Leonard Peltier. "Council Tribune" nie zajmuje się tylko polityką - pismo to opisuje 30-letnią historię niemieckiego Ruchu, z uwzględnieniem złośliwości i krzyżówek. A ponadto: historia Pony-Expressu, artykuł o rozu Jamesa Bowie'go, o indiańskim malarstwie i grafice - w sumie pismo na luzie.

Arkadiusz Jan Kilanowski

PRZEPRASZAMY za przekreślenie nazwiska dra A. SCHULZE-THULINA ze Stuttgartu w tekście AJK "Z miłości do Indian" (=T= nr 8)

Wybitnie kontynentalny klimat Wielkich Równin charakteryzuje się dużymi różnicami temperatury i długotrwałymi suszami. W związku z tym, w lecie często występują burze pyłowe i cyklony, a w zimie - mroźne blizzardy. Latem nikt nie opady deszczu pojawiają się w formie gwałtownych, krótkotrwałych ulew z silnymi wyładowaniami elektrycznymi, które na bezkresnych równinach wywołują niesamowite wrażenie. Toteż przesądni Indianie dopatrywali się w tych fenomenach natury działania potężnych bóstw. Stworzyło to, lub przyczyniło się do przyjęcia wiary w Ptaka Grzmotu, który - budząc lęk - otoczony był szczególną czcią.

Wiara w świętego Ptaka Grzmotu występowała w różnych formach prawie u wszystkich plemion Ameryki Północnej. Ptak Grzmotu mógł być (wg Brintona) pozostałością mitów o stworzeniu świata, tłumaczących powstanie ziemi ruchami wiatrów, które pod postacią ptaków unosiły się nad pierwotnym morzem. Jak głosi podanie Indian Północno-Zachodniego Wybrzeża, na początku było tylko morze. Pewnego razu Ptak Grzmotu, lecąc na północ, osiadł na szczycie góry Sandback, gdzie złożył całe gniazdo jaj. Wtedy pewna Stara Kobieta, wysoka jak najwyższy cedr, wypatrzyła białe, olbrzymie skorupy i zaczęła rzucać jaja w dół po górskim zboczach. Zanim pierwsze się stoczyło, wyklął się z niego Indianin.

Ptak Grzmotu w wierzeniach plemiennych występuje zwykle jako pojedyncza istota, czasem jednak bywa ich więcej i wtedy każdy jest innego koloru. W różnych plemionach miał on też rozmaity wygląd. Ogólnie mówiąc, był personifikacją grzmotu i wiatru. Miał ogromny, zakrzywiony dziób, a pod nim zwierzęco uzbudzoną paszczę. Pióra jego były podobne do wioseł a rozpięte skrzydła tworzyły na niebie tęczę. Poruszając skrzydłami, wywoływał wiatr, któremu towarzyszyły grzmoty. Kiedy błyskał, wrzokiem, to chmury przesuwały błyskawice, kiedy indziej błyskawicą był jego ogromny język. Indianie składali mu w ofierze kolorowe pióra i skórę karibu na mokasyny, gdyż nie uważano go za zwykłego ptaka, lecz identyfikowano z istotami pozostałymi po zagładzie mitycznego Ludu Zwierząt.

Jako YETI, Ptak Grzmotu zawładnął też krainą Eskimosów i ich bliskich sąsiadów, Athabasków. Na Alasce i nad Cieśniną Puget obrządy ku czci Ptaka Grzmotu miały okrutny i krwawy charakter. U Tlingitów i plemion algonkijskich Ptak Grzmotu miał postać kruka, a nad północnym Pacyfikiem - jastrzębia. Przypisywano mu też zdolność łapania w czasie burzy wielorybów i rozbijania ich o korony drzew. Mógł też wystrzeliwać ogromne strzały, których czarne, kamienne groty można czasem odnaleźć na ziemi. Plemionem z Kolumbii Brytyjskiej pojawiał się jako monstrualny głuszc i, podobnie jak Prometeusz, był tym, który sprowadził na ziemię ogień. Ptak Grzmotu prowadził uparczywą i niezmordowaną walkę z Wielorybem-Zabójcą, którego Indianie nazywali SCANA, wierząc że jest początkiem i istotą zła. Ishimshianowie identyfikują go czasem z synem ich herosa kulturowego Lakiteina, zamienionym w grom za to, że dopuścił się kazirodztwa ze swoją siostrą. Także jeden z mitycznych potworów Gitskanów, objawiający im się pod postacią rafa, nosi na sobie rozmaite stwory - dzieci, głowy bez ciał a także - Ptaka Grzmotu, unoszącego się nad małymi istotami. Być może ma to jakiś nikły związek z wiarą Dakotów, którzy utrzymywali, że szamani przed przyjściem na świat przebywali w Krainie Grzmotów i już wtedy znali swoje przyszłe życie.

Owi szamani rozpoczynali swoją działalność dopiero w wieku dorztałym i nie mogli się od niej uchylić pod karą śmierci. Dakocki Ptak Grzmotu, WANHKEON, jest w ciągłej walce z Panem Wód, UNKTEHI. Każda więc burza na prerii oznaczała dla nich nowe starcie między Ptakiem Grzmotu a UNKTEHI lub nie mniej potężnym Grzechotnikiem.

Taniec Ptaka Grzmotu wśród Indian ze stanu Minnesota polega na krążeniu wokół świętego słupa, przy czym stary czarownik w zielonej peruce z trawy pełni funkcję reżysera, bijąc w bęben, grając na flecie, szepcząc magiczne zaklęcia, śpiewając i inscenizując rozmaite figury taneczne.

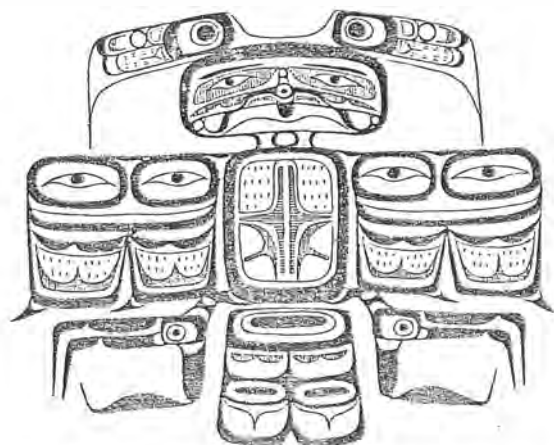
Czarnostopi wierzyli, że jedno z ich plennych świętych zawiniątek zostało im подарowane przez Ptaka Grzmotu. U Huronów Ptak Grzmotu przypomina jaskółkę. Le Jeune zaś opisywał go jako gigantycznego indyka: "Mieszka na niebie i przebywa tam, gdy jest piękna pogoda. Kiedy zaś kłębią się chmury, spuszcza się na ziemię, aby pożywić się węzami i żmijami. Jego dzieci towarzyszą mu i pomagają, jak potrafią, w wywoływaniu odgłosów burzy".

Rysunki Ptaka Grzmotu, które jakoby miały ochraniać poszczególne ludzi i całe plemiona, malowano na wojennych bębnach, tarozach, glinianych naczyniach i ścianach domów.

Pewne pierwiastki kultu Ptaka Grzmotu sięgają aż do ludów Tupi-Guarani w Ameryce Południowej, gdzie pojawiają się w nieco zmienionych formach. Można też doszukiwać się ich u rozwiniętych kultur Ameryki Środkowej i Południowej, gdzie moc Ptaka Grzmotu przejął mały koliber, a u Majów - szmaragdowy ptak quetzal, a także u Inków, gdzie być może zjawiał się jako święty ptak coraquenque.

Na znajdującej się dziś w Ketchikan na Alasce kolumnie totemicznej, wykonanej przez znanego rzeźbiarza indiańskiego Sidneya Campbella, widoczny jest m.in. Ptak Grzmotu. Jego wizerunek stał się popularnym motywem zdobniczym indiańskiego rzemiosła, a w polskiej książce Z. Stolaraka "Czerwone oczy maski" odnaleźć można hymn Nawahów do Ptaka Grzmotu.

SZAMAN



Malunek z przedniej ściany domu Kwakiutłów przedstawiający Ptaka Grzmotu

10-12 marca 1989 roku w ODK "Orbita" w Poznaniu odbędzie się przegląd filmów poświęconych tematyce indiańskiej. I tak oprócz znanych już filmów takich jak: "Mały Wielki Człowiek", "Niebieski Żołnierz", "Jaremiach Johnson", "Był tu Willy Boy" czy "Nie Płacz nade mną Billy" zobaczymy "nowe", jak: "Łowcy Skalpów", "Thunder", "Navajo Joe" czy "Za Dziką Missouri". Ponadto obejrzymy filmy w których udział wziął znany już aktor indiański Will Sampson. Będą to: "Biały Bizon", "Orka" i "Duch II". Będzie ponadto kilka filmów dokumentalnych oraz prześrocz "Wakacje '38". Dla urozmaicenia programu wystąpi szczeciński zespół grający muzykę andyjską.

Chętnych do uczestnictwa w przeglądzie prosimy o zgłoszenia do końca stycznia 1989 roku. Tylko tym, którzy do tego czasu zgłoszą swoje uczestnictwo zapewniamy nocleg w hotelu. Koszt całej imprezy: 2500 zł. Wiesław Karnabiel, Dąbrowa, Ul. Szkolna 9, 62-069 Pałędzie.

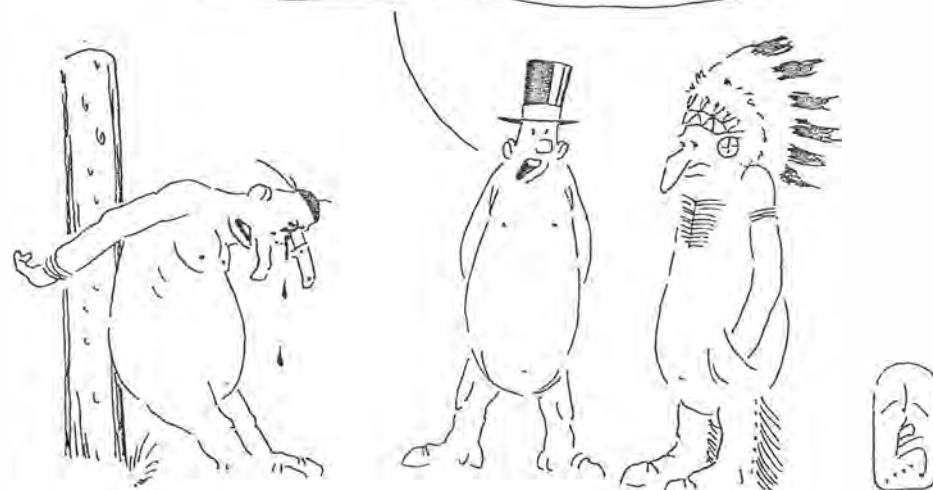
Do nabycia jest jeszcze broszurka "Sztuka Dekoracyjna Dakotów" Glarka Wisslera, druga część cyklu "Naród Dakota", w tłumaczeniu Andrzeja Rutkowskiego. Cena 650 zł. Dziękujemy za pomoc przy broszurce Ewie Bujak.

Ukazała się nowa broszurka z poezją Alexa A. Jacobsa (Karoniaktatie) "Krajobraz: wiersze stare i nowe" w przekładzie Marka Nowocienia. Cena 300 zł.

W księgarniach ukazały się dwie nowości książkowe. Pierwsza to książka Bartolomea de las Casas "Krótka relacja o wyniszczeniu Indian". Wyd. "W Drodze". Poznań, 1988. Cena 300 zł. Do nabycia w księgarniach katolickich lub za pośrednictwem: Marek Maciołek, ul. Łakowa 3, 64-050 Wielichowo. (+ 50 zł za przesyłkę). Druga książka to "Wigwamy, rezerwat, slumsy" Ewy Nowickiej i Izabeli Rusinowej. Wyd. "Książka i Wiedza". Warszawa, 1988. Cena 900 zł. Do nabycia w księgarniach naukowych.

Kto by chciał złożyć zamówienie na uszycie tipi to musi to zrobić do końca roku. Koszt 45000 zł. Zamówienia prosimy składać pod adres: Tomasz Grześkowiak, ul. Dąbrowszcaków 8a/1. 80 - 373 Gdańsk.

ILE RAZY MAM CI
POWTARZAĆ ŻEBYŚ RZUCAĆ
OBOK ! OBOK !!!



NASZYM CZYTELNIKOM I PRZYJACIOŁOM ŻYCZYMY ŚMIESZNYCH ŚWIĄT
I JESZCZE ŚMIESZNIEJSZEGO NOWEGO ROKU - REDAKCJA